RAYBEARER

WŁADCY PROMIENIA

JORDAN IFUEKO

RAYBEARER

WŁADCY PROMIENIA

PRZEŁOŻYLI
MAŁGORZATA HESKO-KOŁODZIŃSKA
PIOTR BUDKIEWICZ

must read

Tytuł oryginału
RAYBEARER

Copyright © 2020 by Jordan Ifueko
All rights reserved.
Copyright © 2022 for the Polish translation
by Media Rodzina Sp. z o.o.

Grafika na okładce Maciej Plamowski
Mapa Christina Chung
Skład, łamanie oraz projekt typograficzny okładki
Radosław Stępniak | SRSLY studio

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych – możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8265-047-1

Must Read jest imprintem wydawnictwa
Media Rodzina Sp. z o.o.
ul. Pasieka 24, 61-657 Poznań
tel. 61 827 08 50
wydawnictwo@mediarodzina.pl

Druk
Abedik

Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich. Prawo autorskie pobudza różnorodność, napędza kreatywność, promuje wolność słowa, przyczynia się do tworzenia żywej kultury. Dziękujemy, że przestrzegasz praw autorskich, a więc nie kopiujesz, nie skanujesz i nie udostępniasz książek publicznie. Dziękujemy za to, że wspierasz autorów i pozwalasz wydawcom nadal publikować książki.

Dla dziecka, które poszukuje
w bajkach bohatera
o twarzy przypominającej
jego własną.

I dla dziewcząt, których ani razu
nie zapytaliśmy o imię, choć ich historie,
pełne tryumfów i przestróg,
budziły w nas zadumę i litość.

OCEAN
OBASI
MEWE
NONTES
DOLINA
NYAMBA
OLUWAN
SWANA
SPARTI
QUETZALA

MORZE GYEOLEONG
BIRASLOV
BLESSIDU
PRZEŁĘCZ JINHWA
SONGLAND
MOREVAO
DŻIBANTI
DYRMA
MORZE DENGA
CESARSTWO ARITSARU

Część pierwsza

Rozdział 1

Obecność istot nadprzyrodzonych nie powinna mnie dziwić.

Kiedy słonie mijały zbitą gromadą moje okno, plamki światła szeptały w kurzu, tańcząc nad rzędami zwierzęcych ciosów i skóry. Wychyliłam się niebezpiecznie za parapet, by złapać świetlistą drobinę, ale służący ściągnął mnie z powrotem.

– Nieładnie, Tarisai, nieładnie – skrytykowali moje zachowanie nauczyciele. – Co zrobiłaby Dama, gdybyś wypadła?

– Chcę zobaczyć światełka – odparłam.

– To tylko duszki tutsu. – Nauczyciel odpędził mnie od okna. – Są życzliwe. Wskazują zbłąkanym słoniom drogę do wodopoju.

– Albo na łowisko stada lwów – mruknął drugi nauczyciel. – Jeśli akurat znudzi im się życzliwość.

Wkrótce miałam się przekonać, że magia bywa kapryśna. Kiedy wpatrywałam się uważnie w nabrzmiały pień baobabu na naszym dziedzińcu, nagle pojawiała się złośliwa twarzyczka. *A kuku, mała zabójczyni*, chichotała, nim zniknęła w korze.

Miałam siedem lat, kiedy znalazł mnie mężczyzna o skrzydłach z kobaltowego ognia. Tamtej nocy postanowiłam przemierzyć Swanę, drugie co do wielkości królestwo w cesarstwie Aritsaru, w poszukiwaniu matki. Przekradłam się obok pochrapujących pokojówek i nauczycieli, napełniłam

worek owocami mango i wdrapałam się na mur z suszonych cegieł.

Księżyc wisiał wysoko nad sawanną, kiedy na mojej drodze pojawił się alagbato. W jego skośnych, nakrapianych złotem i sięgających ciemnych skroni oczach błyszczało światło. Chwycił mnie za ubranie i uniósł, żeby mi się lepiej przyjrzeć. Miałam na sobie szatę o barwie liści bananowca, którą owinęłam się kilka razy poniżej pach, pozostawiając nagie ramiona. Alagbato obserwował mnie z rozbawieniem, kiedy wymachiwałam rękami i nogami w powietrzu.

Leżę w łóżku w Domu Bhekina, powiedziałam sobie. Moje serce waliło niczym pięść w bęben z koziej skóry. Ugryzłam się w policzek, chcąc sobie dowieść, że śnię. *Wokoło wiszą zwiewne moskitiery, a służba wachluje mnie pierzastymi liśćmi palm. Z kuchni napływa zapach śniadania. Kaszka kukurydziana. Potrawka rybna z matemby...*

Policzek mnie zabolał, co znaczyło, że nie leżę w łóżku. Zgubiłam się na balsamicznych trawach Swany, a mężczyzna przede mną miał ciało z płomieni.

– Witaj, Tarisai. – Jego saharyjski oddech rozgrzewał moje ozdobione paciorkami warkoczyki. – A dokąd to się wybierasz?

– Skąd znasz moje imię? – spytałam ostro.

Czy alagbato byli wszechwiedzący jak Bajarz Am?

– To ja ci je nadałem.

Złość nie pozwoliła mi zastanowić się nad tą odpowiedzią. Naprawdę musiał tak jaśnieć? Nawet jego włosy połyskiwały, tworząc opalizujący gąszcz wokół wąskiej twarzy. Gdyby dostrzegli go strażnicy z naszej posiadłości...

Westchnęłam. Nie przeszłam nawet dwóch kilometrów przez sawannę. Nie chciałam dać się złapać już teraz, to byłoby

upokarzające. Nauczyciele znowu zamknęliby mnie na klucz i tym razem kazaliby zabić deskami wszystkie okna w Domu Bhekina.

– Nie wolno mnie dotykać – warknęłam, drapiąc alagbato po rękach.

Jego skóra była gładka i gorąca jak glina pozostawiona na słońcu do wyschnięcia.

– Nie wolno? Jesteś przecież mała, można cię nosić. Słyszałem, że ludzkie dzieci potrzebują czułości.

– Nie jestem człowiekiem – wypaliłam triumfalnie. – Więc mnie postaw.

– Kto ci to powiedział, dziewczynko?

– Nikt – przyznałam po chwili. – Ale wszyscy tak mówią za moimi plecami. Nie przypominam innych dzieci.

Być może kłamałam. Tak naprawdę nigdy w życiu nie widziałam żadnych dzieci, jeśli nie liczyć tych z kupieckich karawan, które w oddali mijały Dom Bhekina. Machałam wtedy z mojego okna, dopóki nie rozbolały mnie ręce, ale żadne nigdy mi nie odmachało. Dzieci patrzyły pustym wzrokiem, jakby nasza posiadłość – dom, sad i tyle budynków, że wystarczyłoby ich na małą wieś – była niewidzialna dla wszystkich z zewnątrz.

– W istocie – zgodził się alagbato ponuro. – Jesteś inna. Tarisai, chciałabyś zobaczyć matkę?

Od razu przestałam się opierać i moje kończyny zwisły bezwładnie jak pnącza.

– Wiesz, gdzie ona jest?

Matka przypominała poranną mgłę – była i znikała, rozpływała się w oparach jaśminu. Nauczyciele zawsze kłaniali się z zabobonnym lękiem, mijając jej rzeźbione w drewnie popiersie w moim pokoju nauki. Nazywali matkę Damą.

Zachwycało mnie nasze podobieństwo: miałyśmy takie same wystające kości policzkowe, pełne usta i przepastne czarne oczy. Popiersie patrzyło na uczonych, którzy wypełniali mój pokój od wschodu słońca do wschodu księżyca.

Trajkotali dialektami wszystkich dwunastu królestw cesarstwa Aritsaru. Twarze niektórych były ciepłe i ciemne, jak moja i Damy, inne blade jak kozie mleko, z oczami jak woda. Jeszcze inne miały rdzawą barwę i pachniały kardamonem – albo złocistą, a wtedy spływające na nie włosy były niczym atrament. Nauczyciele zasypywali mnie zagadkami, wpychając mi w dłonie wykresy.

Czy zdoła to rozwiązać? Spróbuj z innym. Musi lepiej sobie radzić.

Zachodziłam w głowę, czego szukają. Wiedziałam jedynie, że kiedy to znajdą, znowu spotkam się z Damą.

Nadszedł ten dzień, rozpływali się, gdy błyszczałam na lekcjach. *Dama będzie zachwycona*. Potem bramy w palisadzie wokół Domu Bhekina się otwierały i moja matka wchodziła posuwistym krokiem, odległa niczym gwiazda. Jej ramiona błyszczały jak rozżarzone węgle. Batikowa szata w czerwone, złote i czarne zygzaki opinała jej tułów jak druga skóra. Matka przytulała mnie do piersi i było mi tak dobrze, że pochlipywałam, słuchając, jak śpiewa: *Ja i ona, ona jest mną i jest moja.*

Dama zawsze milczała, kiedy demonstrowałam swoje umiejętności. Czasami kiwała głową, jakby chciała powiedzieć: *Tak, kto wie*. Na koniec jednak niezmiennie wyrażała dezaprobatę.

Nie. To zbyt mało.

Deklamowałam wiersze w ośmiu językach, trafiałam strzałkami w maleńkie cele, rozwiązywałam na podłodze wielkie

układanki logiczne, ale nieustannie słyszałam: „nie, nie i nie". A potem znikała w mgiełce oszałamiających perfum.

W wieku pięciu lat zaczęłam lunatykować. Dreptałam boso po gładko otynkowanych korytarzach naszej posiadłości, zaglądałam do wszystkich pokojów, a podczas wędrówki kwiliłam z tęsknoty za matką, aż w końcu ktoś ze służby zanosił mnie z powrotem do łóżka.

Wszyscy bardzo się pilnowali, żeby nie dotykać mojej skóry.

– Nie zdołam znaleźć twojej matki – poinformował mnie alagbato tamtej nocy, gdy próbowałam uciec – ale mogę pokazać ci wspomnienie. – Odchylił głowę, gdy chciałam dosięgnąć jego twarzy. – Nie ma go w mojej głowie. Nigdy nie przechowuję w niej sekretów.

Dama nie bez powodu zabroniła ludziom mnie dotykać. Umiałam wykraść historię niemal wszystkiego: grzebienia, włóczni, człowieka. Dotykałam czegoś i wiedziałam, gdzie było przed chwilą. Widziałam jego oczami, o ile miało oczy. Oddychałam jego płucami i czułam, co wycierpiało jego serce. Jeśli dotykałam odpowiednio długo, potrafiłam dostrzec ludzkie wspomnienia sprzed miesięcy, a nawet lat.

Mój dar nie działał tylko na Damę. Znałam historię wszystkich i wszystkiego w Domu Bhekina, z wyjątkiem matki.

– Znajdziesz moje wspomnienie tam, gdzie się narodziło – wyjaśnił alagbato i ostrożnie postawił mnie w wysokiej trawie. – Chodź. To niedaleko stąd.

Wyciągnął kościstą dłoń, ale się zawahałam.

– Nie znam cię – odparłam.

– Na pewno? – zapytał, a ja odniosłam dziwne wrażenie, że patrzę w lustro. Uśmiechnął się, ściągając wargi jak surykatka. – Jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej, mów mi Melu.

A za sprawą tej kobiety nie jestem alagbato. – Jego uśmiech zamienił się w grymas. – Już nie.

Strach rozpłynął się po moim brzuchu jak dym po szybie w kopalni węgla, ale stłumiłam obawy. *Chcesz znaleźć Damę czy nie?*

Podniosłam worek, z którego wysypała się większość mango, i wzięłam Melu za rękę. Ścisnął moją dłoń ostrożnie, a jednocześnie mocno, jakby miał mięśnie z brązu. Na jego przedramieniu połyskiwała ozdobiona szmaragdem bransoleta. Oparzyła mnie, kiedy przypadkiem ją musnęłam.

– Uważaj – mruknął alagbato.

Powędrowaliśmy do otoczonej akacjami polany. Czaple zatrzepotały skrzydłami nad rozległym nieruchomym stawem. W powietrzu unosił się zapach lilii i fiołków, a zarośla szeleściły i szumiały kołysankę bez słów.

– Tutaj mieszkasz? – spytałam z podziwem.

– W pewnym sensie – odparł. – To miejsce było piękne przez pierwszych kilka tysięcy dni. Potem straciło w moich oczach. – Zamrugałam zdezorientowana, ale zamiast udzielić mi wyjaśnień, wskazał miękki czerwony grunt. – Ta historia jest tutaj.

Ostrożnie przyłożyłam ucho do ziemi. Nigdy nie próbowałam czerpać wspomnień z miejsca większego niż moja sypialnia. Znajome ciepło przeniknęło moją twarz i dłonie, kiedy umysł wnikał w podłoże, uwalniając najmocniejsze wspomnienie. Skrzydlaty mężczyzna zniknął, podobnie jak stado czapli.

Polana jest teraz młodsza, mniej tu zarośli i akacji. W tym wspomnieniu trwa dzień, a w bursztynowym przejrzystym stawie nie ma ryb ani jętek. Moje serce na moment zamiera. Dama, moja Dama, odpoczywa na kamieniu nad stawem.

W słońcu jej odbicie w wodzie tworzy mozaikę, twarz się zniekształca, a chmura czarnych jak noc włosów faluje. Szata Damy jest postrzępiona, sandały wyglądają na znoszone. Martwię się i zastanawiam: *Mamo, przed czym uciekałaś?*

Dama zanurza w wodzie bransoletę ze szmaragdem, szepcze coś nad klejnotem, całuje go z czułością, a szmaragd jaśnieje i przygasa. Potem matka odkłada bransoletę

– Melu! – woła.

Delektuje się tym słowem na swoich pełnych wargach, przeciąga sylaby jakby śpiewała.

– Melu, mój drogi, nie przyjdziesz się pobawić?

Na polanie panuje cisza. Dama śmieje się głęboko, gardłowo.

– Prorocy powiadają, że alagbato nie lubią ludzi. Niektórzy wątpią w twoje istnienie, Wielki Melu, strażniku Swany. Ale ja myślę, że mnie słyszysz. – Wyjmuje z kieszeni zieloną fiolkę i ostrożnie przechyla ją nad stawem. – Moim zdaniem słyszysz mnie bardzo dobrze.

Gorący wiatr wdziera się na polanę, a ze wzruszonej ziemi i gliny powstaje wysoki, szczupły mężczyzna. Jego skrzydła tlą się kobaltem niczym młody ogień, ale głos jest lodowato zimny.

– Dość.

– Wyjawiłabym ci swoje imię – informuje go Dama. – Ale, jak wiesz, ojciec nigdy mi go nie nadał. – Milknie, nadal kołysząc fiolką nad sadzawką. – Powiedz, Melu, jak szybko krew

abiku rozlewa się po ziemi i wodzie? Ile wystarczyłoby do otrucia wszystkich żywych istot w promieniu osiemdziesięciu kilometrów? Dwie krople? Trzy?

– Przestań – warczy Melu. – Czekaj.

Dama wskazuje bransoletę ze szmaragdem.

Na obliczu Melu odmalowuje się klęska. Wstrząśnięty podnosi bransoletę i zapina ją na przedramieniu.

– Jeśli zrobiłam to jak należy – mówi Dama – nie jesteś już alagbato Swany. Jesteś moim ehru... moim dżinem.

– Trzy życzenia – cedzi Melu. – I będę tkwił na tej sawannie, dopóki ich nie spełnię.

– Doskonale. – Dama siada i zamyślona kołysze muskularnymi brązowymi nogami w wodzie. – Melu, chcę mieć warownię, której nikt nie zobaczy i nie usłyszy, chyba że sobie tego zażyczę. W tym miejscu ja i moi przyjaciele zawsze będziemy bezpieczni. Chodzi o coś... godnego rodziny królewskiej. To moje pierwsze życzenie.

Melu mruga.

– Gotowe.

– Gdzie?

– Półtora kilometra stąd. – Melu wskazuje ręką, a w oddali połyskują świeżo powstałe otynkowane mury Domu Bhekina.

Dama promienieje z zadowolenia.

– A teraz – szepcze – chcę śmierci Olugbade...

– To niedozwolone – prycha Melu. – Decyzje o życiu i śmierci nie leżą w mojej gestii. Dotyczy to w szczególności tego życia. Nawet nadprzyrodzeni nie mogą zabić Władcy Promienia.

Dama zaciska wargi, potem je rozluźnia.

– Spodziewałam się takiej odpowiedzi – mówi. – W porządku. Wobec tego chcę mieć dziecko, które będzie robiło, myślało i czuło to, czego sobie zażyczę. Ma być przedłużeniem

mnie samej. Chcę dziecka uzdolnionego, błyszczącego w konkursach talentów. To moje drugie życzenie.

– To niedozwolone – powtarza śpiewnie Melu. – Nie mogę przymusić człowieka ani do miłości, ani do nienawiści. Nie możesz mieć dziecka na własność, tak jak masz na własność ehru.

– Nie mogę? – Dama w zamyśleniu łączy palce w daszek, a jej usta rozciągają się w uśmiechu. Ma zęby w odcieniu chłodnej bieli. – A gdyby moje dziecko było ehru? Gdyby moje dziecko było twoim?

Melu zamiera jak drzewo w porze suchej.

– Taki związek byłby wbrew naturze. Jesteś człowiekiem, nie należysz do mojego rodzaju. Prosisz o wynaturzenie.

– Mylisz się, Melu – mówi Dama, a gdy ehru wbija w nią przerażony wzrok, jej roziskrzone czarne oczy tańczą. – Ja nie proszę, ja żądam.

Potem odbyli rytuał, którego nie rozumiałam jako siedmiolatka. Wydawało się, że czuli ból, kiedy ich ciała splotły się w trawie. Połączyły się dwa gatunki, które nigdy nie miały się zjednoczyć, niepodobne do siebie jak ciało i metal. Dowiedziałam się z tego wspomnienia, że dziewięć miesięcy później Dom Bhekina wypełniły wrzaski noworodka. Trzecie, niespełnione życzenie Damy – jej wynaturzenie – płynęło w moich żyłach.

– Teraz rozumiesz? – wyszeptał nade mną Melu, gdy leżałam jeszcze nie całkiem rozbudzona po tym, jak wspomnienie dobiegło końca. – Żadne z nas nie będzie wolne, dopóki nie

spełnisz jej trzeciego życzenia. – Dotknął mojego czoła długim, smukłym palcem. – Wytargowałem u Damy przywilej nazwania cię Tarisai. To imię ze Swany, które oznacza „widzi to, co nadchodzi". Twoja dusza należy teraz do niej, ale uparłem się, żeby imię było tylko twoje.

Głos Melu zdawał się dobiegać z oddali. Kradzież historii Damy mnie wyczerpała. Ledwie wyczułam, jak Melu bierze mnie w wąskie ramiona i frunie przez noc.

– Jestem związany z tą sawanną od siedmiu lat – wyszeptał, gdy położył mnie pod bramą palisady Domu Bhekina. – Przez wzgląd na siebie mam nadzieję, że życzenie tej kobiety się spełni. Ale przez wzgląd na ciebie, córko, mam nadzieję, że ów dzień nigdy nie nadejdzie.

Wtedy służący wyszli przed bramę i Melu zniknął.

Kilkanaście troskliwych rąk położyło mnie do łóżka, a słodkie głosy przemawiały kojąco, kiedy następnego dnia paplałam o Melu. *To był tylko sen*, zapewniali mnie nauczyciele, lecz ich rozszerzone źrenice i pełne napięcia uśmiechy świadczyły o czymś innym. Moja przygoda utwierdziła ich w najbardziej złowieszczych podejrzeniach.

Moja matka była diabłem, a ja jej demoniczną marionetką.